

*viminalis* × *Populus* in morphological, cytoembryological and molecular investigations. W: The Conference to Honor Professor Maria J. Olszewska on Her Jubilee. Proceedings – The challenges of contemporary cell biology molecular genetics system biology, bioinformatics. Łódź, 20–21.04.2009. University Press, Łódź, s. 32.

PIOSIK Ł., ZENKTELER M., ZENKTELER E. 2010. *Lactuca sativa* L. – a convenient object for an efficient and rapid sexual reproduction. W: XXIX Konferencja Embriologiczna. Ciechocinek, 19–21.05.2010. *Acta Biologica Cracoviensia* **52**, suppl. 1, s. 79.

BAGNIEWSKA-ZADWORNA A., WOJCIECHOWICZ M. K., ZENKTELER M., JEŹOWSKI S., ZENKTELER E. 2010. Cytological analysis of hybrid embryos of intergeneric crosses between *Salix viminalis* and *Populus* species. *Australian Journal of Botany* **58**: 1–7.

PIOSIK Ł., ZENKTELER E., ZENKTELER M. 2010. Analiza kariotypu *Lactuca sativa* L. i *Helianthus annuus* L. W: II Warsztaty Naukowe Instytutu Biologii Eksperymentalnej UAM, Poznań, 12.06. 2010. Abstracts. Instytut Biologii Eksperymentalnej UAM, Poznań, s. 30.

ZARYCHTA Ł., ZENKTELER M., ZENKTELER E. 2011. Intergeneric crossing of *Salix* × *Populus* in biomass breeding programmes: role of pollen germination and sigma receptivity. W: II Konferencja Naukowo-Dydaktyczna Wydziału Biologii, Poznań, 5–7 kwietnia 2011. Streszczenia materiałów II Konferencji Naukowo-Dydaktycznej Wydziału Biologii „Wyzwania współczesnej biologii, biotechnologii i ochrony środowiska”. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań, s. 157.

PIOSIK Ł., ZENKTELER M., GRABOWSKA A., ZENKTELER E. 2011. Development of haploid embryos and plants of *Lactuca sativa* L. under influence of alien pollen grains and chemical inductors. W: II Konferencja Naukowo-Dydaktyczna Wydziału Biologii, Poznań, 5–7 kwietnia 2011. Streszczenia materiałów II Konferencji Naukowo-Dydaktycznej Wydziału Biologii „Wyzwania współczesnej biologii, biotechnologii i ochrony środowiska”. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań, s. 125.

WOJCIECHOWICZ M. K., ZENKTELER M., ZENKTELER E., BAGNIEWSKA-ZADWORNA A. 2011. Overcoming post-fertilization barriers in intergeneric crosses between *Salix* and *Populus*. W: II Konferencja Naukowo-Dydaktyczna Wydziału Biologii, Poznań, 5–7 kwietnia 2011. Streszczenia materiałów II Konferencji Naukowo-Dydaktycznej Wydziału Biologii „Wyzwania współczesnej biologii, biotechnologii i ochrony środowiska”. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań, s. 151.

ZENKTELER M., WOJCIECHOWICZ M. K., BAGNIEWSKA-ZADWORNA A., ZENKTELER E. 2011. Intergeneric crosses to obtain hybrids between *Salix* and *Populus*. W: XVIII International Botanical Congress, Melbourne, 23–30 July. Abstract book. University of Melbourne, Melbourne, s. 482.

BAGNIEWSKA-ZADWORNA A., ZENKTELER M., ZENKTELER E., WOJCIECHOWICZ M. K., BARAKAT A., CARLSON J. E. 2011. A successful application of the embryo rescue technique as a model for studying crosses between *Salix viminalis* and *Populus* species. *Australian Journal of Botany* **59**: 382–392.

Rafał MÓL

## NATURA I KULTURA NATURE AND CULTURE

### O DZIWNYCH GATKACH, NATURALNEJ ASPIRYNIE I SŁUŻĄCYCH Z GŁOWĄ

#### On strange insulators, natural aspirine and heady servants

Tych, których intryguje ten nieco dziwaczny tytuł, informuję na wstępie, że rzecz nie dotyczy nedorzeczných gadek, czyli godanio „we świat” (jak to mówiono); nie dotyczy też (no może trochę, ale o tym później) flanelowych, barchanowych ani bawełnianych gaci pieszczotliwie zwanych gatkami. Będzie natomiast, i owszem, o najprawdziwszej, tyle że naturalnej, aspirynie. Co się zaś tyczy służących „z głową” to kwestia bardziej złożona, ale skoro dziś nawet wielu uczonych profesorów, czy wysoko postawionych polityków, jest „bez głowy”, to istnienie służących „z głową” z pewnością godne jest odnotowania, tym bardziej jeśli takowe służące można wciąż spotkać na naszej polskiej ziemi. Aby jednak materię całą w sposób właściwy ukazać, zacząć nam trzeba od nieco szerszego kontekstu i spojrzenia w głąb historii, mniej lub bardziej odległej. No i koniecznie trzeba czytelników *Wiadomości* uspokoić – rzecz cała jest, od początku do końca, na wskroś botaniczna.

Dziś, w dobie elektryczności, geotermii, paneli słonecznych, gazu, kaloryferów, doskonałych systemów grzewczych oraz dostępności całego wachlarza materiałów izolacyjnych i ocieplających, niewiele osób wie, co to chłód w domu. Przed półwiekiem było zupełnie inaczej, szczególnie

w małej wsi niedaleko znanej skądinąd Kalwarii Zebrzydowskiej na Pogórzu Wielickim, gdzie spędzałem znaczną część mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Elektryczności nie było tam aż do lat 60. ubiegłego wieku (do niektórych domostw doprowadzono ją jeszcze później), a o gacie nikt pewnie nawet nie słyszał. Cała gospodarka była wówczas bardzo ekologiczna i energooszczędna, jako taka nie przyczyniała się na poważnie do tak sławnego dziś „efektu cieplarnianego”. Jedynym źródłem domowego ciepła były w tamtym czasie piece, w których palono głównie drewnem. Niekiedy w całym domu był tylko jeden piec – tzw. blacha z przypiekiem w kuchni i to tam właśnie koncentrowało się życie w długie zimowe wieczory. Typowe piece kaflowe w pokojach były rzadkością (jeżeli już, to ceglane, oblepiane gliną i bielone). Częściej wstawiano do pokoju niewielką żeliwną „kozę”, w której rozpalano wieczorem, by nieco „złamać powietrze” przed położeniem się do łóżka; łatwiej było wtedy zasnąć. Na wsi nie było też wówczas eleganckich materaców i kołder; spało się na sienniku wypchanym sianem lub słomą (najczęściej mierzwą owsianą), zamieszkiwaną przez skorki – według naszej dziecięcej terminologii „szczypawki”. Za przykrycie służyła ciepła, pierzyna. Mimo niewątpliwych zalet, miała ona jednak w tamtym czasie ten mankament, że nie była zazwyczaj pikowana i wyglądała jak duży balon napompowany pierzem. Stąd, w drugiej połowie nocy, górną część ciała przykrywała niekiedy już tylko sama poszwa, a całe pierze gromadziło się gdzieś „w nogach”, w formie gigantycznego bąbla. Solidnie wykrochmalona zazwyczaj poszwa była początkowo bardzo zimna i pierwszy z nią kontakt był wyjątkowo nieprzyjemny. By temu zaradzić, można było przed wejściem do łóżka pierzynę rozłożyć na wyciągniętych przed siebie rękach i potrzymać przez chwilę nad kozą, jeśli w tej się paliło, lub przyłożyć do pieca, jeśli takowy był w pokoju i nagrzać ją z jednej strony. Wówczas, po wejściu do łóżka, miłe ciepło rozlewało się po całym ciele. Jeśli w kozie się nie paliło i brak było w pokoju zwykłego pieca, pozostawało w odwodzie inne zmyślne urządzenie, którym można

się było dogrzewać nieco dłużej, także nocą. Był nim trzymany pod pierzyną, gumowy termofor wypełniony gorącą wodą. Jeśli zabrakło termofora, zastąpić go mogła zwykła pocziwa flaszka wypełniona gorącą wodą. Położone na termoforze lub flaszcze stopy rozgrzewały się szybko, a od nich błogie ciepło rozprowadzane przez krew przemieszczało się po całym ciele. To było to! Czegoż można było chcieć więcej. Najgorzej, jeśli w nocy trzeba było wyjść spod pierzyny „na siusiu”, opuścić na chwilę ciepłe gniazdko i przejść przez zimny pokój, jeszcze zimniejszą sień oraz stajnię do wychodka, czyli ówczesnego WC przytulonego do zewnętrznej ściany chałupy. Zwykle w takich razach podróż kończyła się wcześniej, na nieco cieplejszej stajni; trzeba było tylko zwracać uwagę by krowy nie „podglądały”; zresztą i tak najczęściej było ciemno, chyba, że już dniało. Na tych, którzy nie mieli ochoty na taką dłuższą wędrówkę, czekał inny wynalazek. Był nim znany od starożytności usłużny przyjaciel, jednouchy nocnik, nieodłączny rekwizyt ówczesnego pokoju, grzecznie warujący pod łóżkiem w stałej gotowości.

Wróćmy jednak do naszych „ocieplaczy”. Obok pierzyny i termoforu dostępny był jeszcze jeden ich rodzaj, typowo męski, mianowicie znane do dziś gacie, zdrobniale „gatki”. Nie o takich jednak gatkach, jak już wspominałem, mówi tytuł niniejszego tekstu. Przejdźmy zatem do nich, onych intrygujących gatek, które męskimi gaciami nie są.

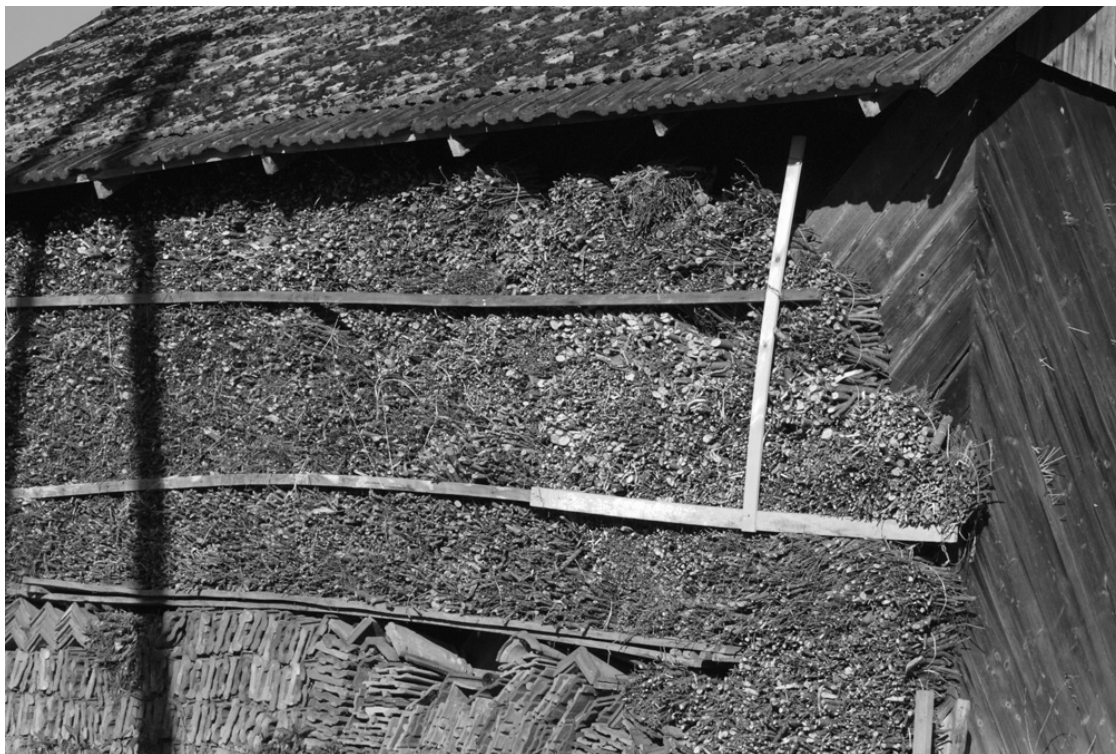
Określenie „gatki” (liczba pojedyncza „gatka”) używane było w Jastrzębi i najbliższej okolicy na określenie wiązek chrustu służących „na podpałkę”, czyli do rozpalania w piecu. Były to suche i raczej cienkie, pocięte na około trzydziestocentymetrowe odcinki gałązki, najczęściej wierzbowe. Wiązało się je zazwyczaj słomianym powrósłem, które potem wykorzystywano przy rozpalaniu. Po włożeniu całej lub części gatki do pieca, podpalano leżącą pod nią zmiętą słomę z części lub całości powrósła, a na wierzch kładziono nieco grubsze drwa. Dopiero później, gdy te się rozpałyły „na fest”, można było włożyć grube polano. Widać więc, że i te wkładane do pieca gatki mają ścisły związek

z dostarczaniem i utrzymaniem ciepła. Warto im się przyjrzeć nieco bliżej, nie tylko z tego powodu, że ocieplały zimową atmosferę tamtych lat, ale i z tego, że są interesującym reliktem dość dawnej i równocześnie nie tak odległej przeszłości. Zacząć warto od rodowodu gatki, owej wiązki chrustu z niemiecka zwanej faszyną. Większymi wiązkami faszyny (czyli naszymi gatkami) złożonymi z dłuższych (około półtora do dwu i pół metra) gałęzi wierzbowych, „faszynowano” czyli obkładano brzegi potoków, aby je umocnić i zabezpieczyć przed podmywaniem i erozją. *Nota bene*, samo słowo faszyna ma rodowód łaciński i pochodzi od *fascis* czyli wiązka. Określano nim w starożytności (używając liczby mnogiej *fascēs*), pęki różeg noszone przez liktorów (niższych urzędników rzymskich stanowiących niegdyś straż przyboczną królów i cesarzy). Od łacińskiego zdrobnienia *fasciculus* pochodzi (rzadko dziś używane) słowo fascykuł, oznaczające związany sznurkiem lub spięty parcianym paskiem plik arkuszy zielnikowych, papierów czy dokumentów w archiwum, lub „zeszyt” stanowiący kolejną część większego dzieła wydawniczego. Mało kto przypuszcza, że i słowo faszyzm (pochodzące z włoskiego *fascismo*) ma w swej genezie dokładnie ten sam łaciński źródłosłów *fascis* (tu oznaczający *wiązek*), co owa wiązka chrustu zwana faszyną, czyli ostatecznie nasza *gatka*. Ale, po kolei.

Starosłowiańskim odpowiednikiem faszyny jest *gać*. Słowo to oznaczało pierwotnie zarówno faszynę czyli wiązkę chrustu, jak i zrobiony z tejże faszyny pomost przez rzekę. Faszyna niejako mościła bystrze (czyli wypłycone miejsce rzeki), stając się pomostem łączącym dwa brzegi. *Gacić*, znaczyło właśnie mościć, wyścielać drogę (przez rzekę) ową gacią czyli faszyną, tak aby można było przez nią przejść albo przejechać na drugi brzeg. Słowo „gacić” miało jeszcze drugie znaczenie: obkładać chatę, na przykład mchem czy słomą lub oną faszyną na zimę, celem ocieplenia. Wspomniane już gacie, czy (zdrobniale) gatki (w znaczeniu kałesony), służyły temu samemu; „gaciło” się nimi, (czyli owijało celem ocieplenia), nogi. Mianem gaci określano także kudły na nogach niedźwiedzia

i nieczęste opierzenie gołej zazwyczaj skokowej części nóg ptaków. Botanicy, jak wiemy, słowem „gatka” określają błoniastą pochwę, wyrastającą z węzła łodygi i połączoną z dolną częścią ogonka liściowego, która miejscowo otula (a więc „gaci”) łodygę u szczawi, rabarbaru, gryki i rdestów, czyli u przedstawicieli rodziny rdestowatych. Nasze *gatki* (tym razem wracamy znowu do wiązek chrustu), niezależnie od ich etymologii i pierwotnego znaczenia, także w pewien sposób „otulały” ściany wiejskich chałup; układano je bowiem przy nich na całej długości bocznej lub tylnej ściany domu aż do wysokości dachu. Niekiedy układano je także na froncie domu, ale wówczas tylko pod gankiem lub werandą. Aby stos gatek nie runął, średnio co dwa metry stawiano pionowo dwa drągi spięte poprzeczką, które tworzyły rodzaj rusztowania utrzymującego całą konstrukcję. Tym sposobem otulające dom gatki nie tylko były zawsze pod ręką, ale dodatkowo „gaciły” przez jakiś czas chałupę. Ogrzewały ją więc pośrednio, izolując ściany od zimna i wiatrów, niezależnie od rozgrzewających płomieni buchających z suchego chrustu po wsadzeniu gatki do pieca.

Pozostaje nam jeszcze, zapowiedziany w tytule, związek naszych gatek ze służącymi i to nie byle jakimi, bo „służącymi z głową”. W tym przypadku owe służące to „głowiaste” wierzby, których niewysoki pień zwieńczony jest zgrubieniem w formie „głowy”. Ich istnienie było, i wciąż jeszcze jest, wynikiem spotkania natury z kulturą; wynikiem trwającego całymi dziesiątkami lat procesu ogławiania. Polegał on na obcięciu najpierw pnia na wysokości około 2–2,5 metra, a potem na dalszym regularnym obcinaniu wszystkich wyrastających z niego gałęzi; rzadko pień obcinano niżej, choć do dziś można spotkać wierzby ogłowione bardzo nisko, bo na wysokości około metra a nawet pół metra nad ziemią. Najczęściej ogławiane wierzby, to dwa nasze rodzime gatunki drzewiaste, rosnące zwykle w nadrzecznych lasach łęgowych, wierzba biała *Salix alba* (o wyraźnie białym spodzie lancetowatych liści – stąd nazwa) i częstsza od niej (przynajmniej w naszej okolicy) wierzba krucha *Salix fragilis* o łatwo łamliwych gałązkach (stąd



Ryc. 1. Gatki ułożone przy ścianie budynku (fot. Z. Mirek).

Fig. 1. Fascicles of dried willow tweaks (faggots) against the wall of a wooden house (phot. Z. Mirek).

jej polski epitet gatunkowy *krucha*, będący dosłownym tłumaczeniem łacińskiego *fragilis*). Oba gatunki dorastają w normalnych warunkach (tzn. gdy nie są ogławiane) do 30 metrów wysokości; pod względem wzrostu nie dorównuje im żaden inny spośród blisko trzydziestu występujących w Polsce gatunków wierzb, z których wszystkie, poza drzewiastą wierzbą iwą (*Salix caprea*), są niezbyt wysokimi krzewami lub niskimi krzewinkami. Regularne, zwykle raz na 2–3 lata, obcinanie gałęzi na tym samym poziomie prowadziło do tworzenia się znanych „głów” na wierzbach. Ogławianie, czyli swoiste strzyżenie czupryny gałęzi na głowie wierzby, przeprowadzano zwykle w lutym lub marcu, gdy już dni były nieco dłuższe, a jeszcze nie rozpoczęły się prace polowe. Życie głowiastej wierzby zaczynało się z reguły dość wcześnie. Albo wyrosło już spontanicznie drzewo obcinano na odpowiedniej wysokości i później systematycznie ogławiano, albo – i tak było najczęściej – odcinano odpowiedniej długości grubsze gałęzie czy konary (zwykle średnicy

kilku do kilkunastu centymetrów) i wbijano lub wkopywano w ziemię. Ot i wszystko. Po paru tygodniach taka gałąź ukorzeniła się i wypuszczała młode pędy (gałęzie), które należało w odpowiednim czasie, tj. po 2–3 latach obciąć. Niekiedy sadzono całe szpalery takich wierzb w miejscach z różnych względów do tego odpowiednich, np. przy polnych drogach czy na granicach pastwisk.

Rosnące tu i ówdzie nad potokami głowiaste wierzby, po kolejnych postrzyżynach szybko odzyskiwały bujną fryzurę nastroszonych gałęzi przyrastających do trzech metrów w ciągu roku. Nosiły ją na swych głowach dumnie, niczym rzymscy liktorzy pęki różeg przed swymi możliwymi protektorami. Nic dziwnego – służyły przecież pękami swych bujnych różgowatych włosów, owym – jakby dziś powiedziano – „materiałem bioenergetycznym” (okropieństwo), zużywany na pocziwe gatki, ocieplające klimat nie tyle globalny, ile ów mikroklimat przytulnych wówczas, drewnianych wiejskich chałup; „otynkowanych” często gliną od zewnątrz i od



wewnątrz, oraz pobielonych pocziwym wapnem gaszonym rozpuszczonym w wodzie i lekko podbarwionym błękitną ultramaryną.

Niektórzy twierdzą, że zwyczaj ogławiania wierzb pojawił się u nas w średniowieczu i zawdzięczamy go Holendrom, którzy wówczas przybywali i osiedlali się w Polsce. Jakakolwiek jednak byłaby ich geneza, pocziwe „służące z głową” zrosły się na dobre z polskim krajobrazem, i to nie tylko tym kojarzonym z chopińskim Mazowszem.

Głowiaste wierzby, skromne towarzyszki naszej codzienności, urzekają prostotą a równocześnie zachwycają pięknem i fantazyjnym kształtem dziuplastych pni, niekiedy wypróchniałych i rozprutych aż do nasady, jakby po rytualnym harakiri. Nieogławiane lub ogławiane zbyt rzadko, w starszym wieku głowiaste wierzby często rozłupywały się pod ciężarem potężnych gałęzi, przybierając kształty jeszcze bardziej niesamowite, przypominające tajemnicze rzeźby, nierzadko zebrane w swoistą galerię pod gołym niebem. W ich wypróchniałych wnętrzach znajdowało swój dom wiele ciekawych stworzeń, przez co służebna ich rola stawała się jeszcze bardziej oczywista. Samo próchno po wysuszeniu doskonale nadawało się do rozniecenia ognia drewnianym kołkiem, kręconym szybko między sprawnymi dłońmi. Gdy poleżało przez kilka lat w dolnej części wypróchniałego pnia, stawało się doskonałą, próchnicą, którą mieszano z ziemią „pod kwiatki” dla poprawienia jej struktury i żyzności.

Piękno głowiastych wierzb opiewało wielu, a poświęcony im fotograficzny album Edwarda Hartwiga jest swoistą symfonią patetyczną na ich cześć, wprowadzającą nas, niczym baśnie Andersena, w jakiś odrealniony, niedzisiejszy, tajemniczy świat dziecięcej wyobraźni. Jednak te piękne głowiaste wierzby, tak cudownie utrwalane w naszej poezji od czasów Kochanowskiego, poprzez romantycznych, pozytywistycznych i młodopolskich poetów, odmalowane na obrazach Fałata czy Chełmońskiego, zatrzymane w kadrze wspomnianego Edwarda Hartwiga, znikają z naszego krajobrazu, podobnie jak znika z naszego języka ów tajemniczy wyraz *gatka*.

Krajobraz ogłowionych wierzb ginie zresztą nie tylko w Polsce. W niektórych krajach europejskich, celem ratowania owych „służących z głową”, ustanowiono nawet specjalny „dzień głowiastych wierzb”, w którym starsza młodzież szkolna, uzbrojona w piły, siekierki i pneumatyczne nożyce wyrusza pod opieką nauczycieli i rodziców na akcję, czy raczej rytualną ceremonię ogławiania wierzb. Podobne akcje i zwyczaje pojawiają się także tu i ówdzie w Polsce. Pozwoli to na utrzymanie ogłowionych wierzb w krajobrazie jeszcze przez jakiś czas.

Dziś nikt już nie gaci drewnianych chałup ani mchem, ani słomą. Prawie nikt już dziś nie układa w malownicze, przyściennie stosy pociupanych równo siekierą na zwykłym drewnianym pniaku gałązek powiązanych powrósłami w pęczki; bo komu i po co są one potrzebne, a razem z nimi ogłowione wierzby? Dziś nie gaci się także nóg przez owijanie ich i obwiązywanie ciepłą flanelą, nie mówiąc o słomie, a dawne pocziwe swoje gacie zastąpiły mieszczańskie kalesony. Ech, gdzie te piękne czasy? Łza się w oku kręci!

Ale nie rozstawajmy się jeszcze z pocziwymi wierzbami, nie tylko tymi ogłowionymi; bo na Pogórzu Wielickim, o którym mowa, rośnie ich ponad 10 gatunków. Najpospolitsza z nich to wspomniana już wierzba iwa *Salix caprea* – jedyny, obok dwu ogławianych, gatunek drzewiasty; tyle, że od tamtych iwa jest niższa (dorasta maksymalnie do 15 metrów). Iwę wyróżniają charakterystyczne szerokojąkowe liście, podobne kształtem do liści jabłoni, lecz gęsto kutnerowato owłosione od dołu (za młodu owłosione także od góry). Pozostałe nasze gatunki to mniejsze lub większe krzewy. Nie ma natomiast na ziemi lanckorońskiej wierzb tworzących małe, przytulone do ziemi krzewinki. Te typowo wysokogórskie gatunki znane są w naszych Karpatach głównie z Tatr, a niektóre także z dobrze widocznej z Krakowa na południowym horyzoncie Babiej Góry – jak choćby wierzba zielna *Salix herbacea*, występująca na całym polskim niżu podczas kolejnych zlodowaceń jako składnik glacialnej tundry. Po raz ostatni mogła na kalwaryjskiej ziemi rosnąć jeszcze kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy lat temu.

Wszystkie wierzby, jak pamiętamy, to rośliny dwupienne, co nie jest częste wśród drzew i krzewów. Oznacza to, że dany osobnik wytwarza albo kwiaty męskie albo kwiaty żeńskie – jest więc albo „mężczyzną” albo „kobietą”. Bardzo niepozorne kwiaty wierzby zebrane są w charakterystyczne kwiatostany (kotki), które są złożone albo z kwiatów męskich (pręcikowych) albo żeńskich (słupkowych). Wyjątkowo tylko można spotkać kwiaty obu płci na jednym drzewie czy krzewie a nawet w obrębie jednego kwiatostanu, czyli owego „kotka”. Nieco częściej taka sytuacja zdarza się u sadzonej w Polsce wierzby płaczącej *Salix babylonica*, która przybyła do nas z odległych Chin. Jej forma o pokręconych gałązkach (fo. *contorta*) często służy jako element dekoracyjny w tzw. suchych bukietach. Ci, których zainteresują wierzby, muszą wiedzieć, że wszystkie gatunki z łatwością się krzyżują i tworzą mieszańce, co czasami poważnie utrudnia ich praktyczną identyfikację.



Ryc. 2. Stare wierzby stojące wzdłuż drogi niczym rzeźby galerii na otwartym powietrzu (fot. Z. Mirek).

Fig. 2. Old willows standing along the road like sculptures of an open-air gallery (phot. Z. Mirek).

Wierzby, nie tylko te ogławiane, należą do najczęstszych w naszym krajobrazie gatunków. Ich drobne nasiona, produkowane w setkach tysięcy sztuk, opatrzone puchem stanowiącym aparat lotny, są rozsiewane przez wiatr czyli anemochorycznie (od greckiego *anemos* – wiatr i *chorein* – rozprzestrzeniać, rozsiewać) i mogą być przenoszone na odległość wielu kilometrów. Stąd pojawiają się we wszystkich wolnych miejscach, szybko kiełkują i rosną, stanowiąc wraz z osiką i brzozą swoiste preludium lasu lub, jak mówią leśnicy, jego przedplon. Niektóre gatunki wierzby przywiązane są do specyficznych biotopów, inne jak choćby wspomniana już iwa, mogą rosnąć w bardzo różnych miejscach; często pojawiają się jako nieproszeni goście: na omszonych gzymsach budynków, w nieoczyszczonych rynnach czy załomkach murów. Gdybyśmy przez dwa lata nie przeplewili przydomowego ogródka lub nie wykosili trawy w sadzie, mielibyśmy niekiedy po kilka młodych osobników iwy rozrzuconych losowo na każdym niemal metrze.

Wierzby pełnią także ważną rolę w naszej kulturze; są między innymi bardzo mocno wpisane w symbolikę Wielkiej Nocy. W szczególności związane są z rozpoczynającą Wielki Tydzień Niedzielą Palmową, dawniej zwaną, nie bez powodu, „wierzbną niedzielą”, a w cerkwi prawosławnej „wrbnicą”. Długie gałązki wierzby pokryte wczesnowiosennymi kotkami („baziami”) stanowiły niegdyś podstawę tradycyjnych palm wielkanocnych. Do dziś żywy obyczaj ich święcenia w Niedzielę Palmową, na pamiątkę wjazdu Pana Jezusa do Jerozolimy, pięknie opisała Zofia Kossak-Szczucka: „W Palmową niedzielę każdy kościół polski zakwita wiązkami wierzby, modrzewiu, borówek, borowinku jak gdyby całe gaje weszły do świątyni oddać hołd Zbawicielowi. Wierzby usiana białymi kotkami – to polska palma wdzięczna i pokorna (...). Wychodząc po nabożeństwie z kościoła, należy połknąć parę poświęconych baziek. Miękkie, kosmate, z trudem przechodzą przez krtań, lecz zabieg wart jest trudu, chroni bowiem od chorób gardła na przeciąg roku”. Według powszechnej niegdyś wiary, połknięcie po wyjściu z kościoła poświęconych w tę szczególną niedzielę wierzbowych bazi

rzeczywiście miało zapobiegać chorobom gardła i górnych dróg oddechowych przez kolejny rok. Wysuszone i sproszkowane baze wielkanocne dodawano także do innych ziół i mieszanek ziołowych celem wzmocnienia ich działania. Rozdrobnione na proszek suche baze z palm mieszano także z ziarnem siewnym, celem podniesienia jego płodności. Poświęcone w niedzielę palmową gałązki wierzby lub same tylko baze włożone pod pierwszą odoraną skibę zapewniać miały dobry urodzaj w danym roku. Co się tyczy leczniczych właściwości, to niezależnie od działania samej wiary, z czasem (w latach 90. XIX wieku) okazało się, że wierzby zawierają duże ilości salicylanów (grupa roślinnych związków fenolowych), wśród których szczególną sławę zyskał kwas acetylosalicylowy znany pod handlową nazwą aspiryna. Wierzba jest więc „naturalną aspiryną”, a przynajmniej jej źródłem. *Nota bene*, nazwa „salicylany” pochodzi od łacińskiej nazwy rodzajowej wierzby – *Salix*. Ta ostatnia, znana od starożytności, jest najprawdopodobniej pochodzenia celtyckiego i powstała ze złożenia dwóch słów: *sal* = поближе, sąsiedztwo i *lis* = woda; podkreśla ona związek większości częstych gatunków wierzb z terenami nadrzecznymi, przypotokowymi lub podmokłymi. Niektórzy wywodzą jednak łacińską nazwę wierzby od łacińskiego *salire* – skakać, wskazując na szybki, niemal skokowy wzrost większości wierzb. Polska nazwa „wierzba” ma rodowód starosłowiański; w podobnym brzmieniu znana jest ze wszystkich prawie języków słowiańskich, a samo słowo „wierzba”, „vrba” oznacza pręt (tak właśnie, niczym długie, proste pręty, wyglądają młode gałązki wielu gatunków wierzb). Bliski łaciński termin *verbera* oznacza różgi bądź baty, a słowo *verbena* oznacza pręty (witki), gałązki i liście oliwki bardzo podobne do pędów (gałązek) i liści wielu nadrzecznych gatunków wierzb. Nawiasem mówiąc ogławiano nie tylko wierzby; w krajach śródziemnomorskich do dziś ogławiane są na przykład oliwki celem ich odnowienia, a niektóre sędziwe okazy tego gatunku (jak choćby te do dziś istniejące w ogrodzie oliwnym, w którym modlił się Chrystus), często przypominają ogłowione i wypróchniałe wierzby.



Ryc. 3. Tajemnicze piękno starych wierzb (fot. Z. Mirek).

Fig. 3. Mystic beauty of old willows (phot. Z. Mirek).

Oliwka w naszym klimacie jak wiadomo nie rośnie, za to okazałe, podobne do niej liśćmi i korą oliwniki (nie bez powodu tak zwane) spotkać można sadzone w wielu regionach kraju.

Wracając do właściwości leczniczych wierzb, warto zauważyć, że były one znane od przeszło 2000 lat, a pod koniec XIX wieku jedynie zidentyfikowano i nazwano chemicznie czynne substancje zawarte w wierzbie, w tym sławną, wspomnianą już aspirynę. *Nota bene*, dla celów leczniczych do dziś pozyskiwana jest kora wierzby (łacińska nazwa surowca *cortex Salicis*) i to najczęściej z dwóch naszych ogławianych bohaterów – wierzby kruchej *Salix fragilis* i bardzo do niej podobnej wierzby białej *Salix alba* oraz ich mieszańców. Święta Hildegarda z Bingen, filozof, teolog i mistyk w jednej osobie, a zarazem najsłynniejsza zielarka średniowiecza, tak

opisuje właściwości wierzby: „Woda, w której były gotowane liście drzewa, uniemożliwia poczęcie u kobiet. Kobieta, która spożywałaby kwiat lub ziarno może być niepłodna. Zapach świeżych liści przywodzi sen. Korę wierzby stosuje się przede wszystkim jako środek przeciwrumatyczny i przeciwgorączkowy oraz jako środek wykrztuśny zwłaszcza w koklusz; stosuje się również przeciw nieżytkowi kiszek, cierpieniom dróg moczowych i przeciw bieguncce; podaje się ją doustnie jak również w postaci lewatywy. Przeciw białym upławom stosuje się przepłukiwania. Zewnętrznie używa się wywaru do mycia głowy przeciw łupieżowi. Kąpiele z kory wierzby działają wzmacniająco u osób rachitycznych”.

We współczesnych przepisach ziołoleczniczych ojców Bonifratrów znajdziemy bardziej profesjonalny opis właściwości leczniczych wierzby białej (*Salix alba*) i takich m.in. pokrewnych gatunków jak wierzba krucha *Salix fragilis*: „Uznany surowcem leczniczym jest w przypadku wierzby kora – Cortex Salicis, która zawiera: glikozydy fenolowe, flawonoidy i garbniki pirokatechinowe oraz kwas elagowy, katechinę i sole mineralne. Ma działanie przeciwbólowe i przeciwzapalne. Współdziałanie salicylanów, garbników i flawonoidów, daje efekt uszczelniania ściany naczyń włoskowatych i w pewnym stopniu działa przeciwzkrzepowo. Korę wierzby stosuje się najczęściej w mieszkankach ziołowych jako pomocniczy środek leczniczy w chorobie reumatycznej, oraz w niektórych chorobach gorączkowych, a także mało nasilonej bieguncce. Zewnętrznie – przy nadmiernej potliwości stóp. Co ważne, surowiec nie wykazuje działań ubocznych w przeciwieństwie do salicylanów syntetycznych.

Odwar z 1 łyżeczki rozdrobnionej kory należy zalać 1 szklanką wody i gotować pod przykryciem przez około 10 minut, następnie przecedzić i pić w ciągu dnia. Jest to bardzo skuteczny środek przeciwzapalny, przeciwbólowy, napotny i przeciwgorączkowy zalecany w przypadku bóli reumatycznych, nerwobóli, przeziębienia, grypy i anginy. Ten sam odwar można dodawać do kąpiele, które podziałają wzmacniająco po przebytych ciężkich chorobach”.

Ale zastosowania wierzby nie kończą się na ziołolecznictwie. Kto z nas nie robił fujarek z gałązek wierzbowych i nie pamięta w związku z tym znanej piosenki do słów Marii Konopnickiej „rosła kalina z liściem szerokim”, której jedna ze zwrotek przypomina ów pastuszy zwyczaj: „u tej krynicy, u tej kotliny Jasio fujarki kręcił z wierzby”. A cała sztuka wikliniarska? Toż ona na wierzbie stoi! Kiedyś z wikliny (używano głównie wierzby ostrolistnej *Salix acutifolia* i wierzby długokończystej *S. dasyclados*) robiono płoty, ściany domów (często oblepiane potem gliną), koszyki, półkoszki do wozów czy zapomniane dziś „ducki” (specjalne dwuuche kosze na owoce). Z czasem wikliniarstwo wysubtelniało i stało się modne. Dziś z wikliny wytwarza się dosłownie wszystko – od najbardziej wyszukanych mebli po równie wymyślne dzieła („instalacje”) sztuki ogrodowej. Ale wierzba to także roślina magiczna; przygotowywano z niej różdżki używane przez wróżbiarzy, a także różdżkarzy poszukujących wody i wskazujących miejsce odpowiednie do wykopania studni. W astrologii galijskiej wierzba była symbolem tęsknoty i miała związek z darem proroczym. Urodzeni pod znakiem wierzby, a więc według kalendarza galijskiego między 3 a 12 września oraz w przedziale od 1 do 10 marca, to ludzie o zdolnościach telepatycznych, zapatrzeni w siebie „artyści i egoiści”, ekstrawertycy o „scenicznym” sposobie bycia. Będąca ich znakiem wierzba to „istota zmysłowa, czuła, łagodna i niepokojna zarazem”. Wierzba, szczególnie ta wypróchniała, dziuplasta, popękana, zawsze, mimo swej łagodności, budziła respekt. Wiadomo, że w jej pustym wnętrzu mógł siedzieć zły duch lub wiedźma. Najgorszy był oczywiście rokita – uprzykrzony, złośliwy i wredny diabeł zamieszkujący tereny podmokłe i bagniska. Ten to stare, wypróchniałe i dziuplaste wierzby, zwłaszcza te rosnące na rozstajach dróg, szczególnie sobie upodobał. Zbliżając się zatem do takiej wierzby, trzeba się było mieć na baczności.

Wracając jeszcze do naszej chrześcijańskiej tradycji związanej z Wielkanocą, warto przypomnieć, że w symbolice Kościoła Katolickiego wierzba jest symbolem Zmartwychwstania

i nieśmiertelności duszy. Wierzono, że poświęcone w Palmową Niedzielę wierzbowe baze, posiadały szczególną moc; stąd, podobnie jak gromnica, pełniły funkcję obronną np. przed piorunami. Spopielonymi baziami z poświęconych palm wielkanocnych posypywano głowy w Środę Popielcową, wzywając do pokuty i nawrócenia. Malowane czy fotografowane baze umieszczane są obok jajka, jako podstawowy symbol Wielkanocy opromienionej zmartwychwstaniem Chrystusa, w którym jest i nasze zmartwychwstanie. Pomyśleć – pocziwa wierzba – a ile z niej pożytku dla ciała i ducha.

Wierzbę z dawien dawna uważano za „miłosniczkę życia”, symbol Zmartwychwstania, a to z tego powodu, że z taką łatwością wyrasta z odciętych gałązek wsadzonych w ziemię. Nie tylko: jej moc życia, szybki wzrost i zdolność łatwego rozprzestrzeniania lotnych wierzbowych nasion przez wiatr na duże odległości i pojawiania się w każdym niemal miejscu miały także symbolizować Prawo Boże będące źródłem życia dla całego świata. Chrześcijaństwo podkreślało, że prawem tym jest „Zmartwychwstały Syn Boży, który ma być głoszony aż po krańce ziemi”, a Ewangelia, Dobra Nowina o Nim, ma się rozprzestrzeniać jak nasiona wierzb, zaś jej słowa, włożone w ludzkie serce, mają się zazieleńić nowym życiem i rozrosnąć w duże drzewo, niczym gałązka wierzb włożona w glebę. Błędne przekonanie starożytnych o hamującym wpływie wierzb na popędy i zmysłowość zostało przejęte przez chrześcijaństwo i pozwala zrozumieć, dlaczego Ojcowie Kościoła uważali wierzbę za symbol czystości i oczyszczenia. Zarówno owo oczyszczenie i zdolność „ożywiania” z niemal już suchych, a więc prawie martwych gałązek wierzbowych po włożeniu w wilgotną glebę, uczyniło z wierzb także symbol Chrztu Świętego (przywracającego Boże życie w człowieku obumarłym wskutek grzechu).

Zwyczajna wierzba, często pogardzana, ukazuje nam swe nieznane lub mało znane oblicze i wielostronną, służebną rolę jaką pełni w naturze i kulturze.

Zbigniew MIREK

## POEZJE BOTANIKÓW POETRY OF BOTANISTS

### WIERSE KRZYSZTOFA KOKOTA

#### Poems by Krzysztof Kokot

W niniejszym zeszycie prezentujemy wiersze z dwóch zbiorów Krzysztofa Kokota – *Bez recepty* i *Dmuchawce* – autora zajmującego się botaniką farmaceutyczną, czyli roślinami leczniczymi i ich właściwościami.

Krzysztof Kokot urodził się w Katowicach (1949) – farmaceuta, absolwent Wydziału Farmaceutycznego Akademii Medycznej w Krakowie. Od 1976 mieszka w Nowym Targu.

Przygodę z poezją rozpoczął w 2004 roku. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jego wiersze prezentowane były w prasie krajowej, czasopismach aptekarskich i almanachach. W 2006 roku otrzymał prestiżową nagrodę czeskiego wydawnictwa „Alisa”, z którym utrzymuje ciągły kontakt (wybory poezji *Stoupajici Hvezdy* 2006, *Eroticka poezie* 2007 i *Soucasna poezie* 2009).

Pisze również gwarą śląską – jest laureatem konkursów im. ks. Norberta Bonczyka w Rudzie Śląskiej, jak i ludźmierskich konkursów im. ks. prof. Józefa Tischnera. Ma w swoim dorobku trzy tomiki poezji: *Daj mi talent* (Poznań 2007), *Bez recepty* (Nowy Targ 2010) i *Dmuchawce* (Poznań 2011).

Tomik *Dmuchawce* najlepiej prezentuje sam autor:

Haiku – to jego nowe zauroczenie. Zaowocowało publikacjami w światowych wydaniach prasy japońskiej, wyróżnieniami w światowych konkursach i publikacjami w chorwackim *Iris* i rumuńskim *Haiku* oraz antologii włoskiej i niemieckiej.

Miłośnik przyrody, gór i samotnych dalekich podróży, stąd wiersze, które powstały w chorwackich i dalmatyńskich zaułkach oraz na małych filipińskich wyspach, czy też na indonezyjskim